

opatrznie strwonił, jest to los wspaniały; imię jego wielkie jest i on tobie przekazuje dziedzictwo długich wieków szlachectwa i dumy!

— To zbrodnia! — jęknął Beaupré zgębiony.  
— Tamtyś będziesz — wygłosił Sernin gwałtownie — tamtyś! Jeżeli nie staniesz się znów Gerardem Beaupré, a nad tym mnie służy prawo życia i śmierci. Wybieraj!

Wyciągnął rewolwer i wycelował go w pierś młodego człowieka. Wyraz twarzy jego był nieubłagany. Gerard przejęty strachem, padł, łkając, na łóżko.

— Chcę żyć! — wyjąkał.

— Chcesz żyć? Stanowczo, nieodwołalnie?

— O tak, tak, po tysiąc razy! Po tem straszem, o co się pokusiłem, śmierć mnie przeraża... Wszystko, wszystko raczej, niżli śmierć!

Drżał wylekniiony, jak gdyby wciąż jeszcze w oczy śmierci patrzył.

— Nie żądam od ciebie nic niemożliwego, ani nic złego — przemawiał gorąco książę. — Za wszystko ja tylko jestem odpowiedzialny. Żadnej twojej i trochę cierpienia..

— Wobec cierpienia jestem obojętny.

— A więc odrazu! zaraz! — zawołał Sernin. Dziesięć sekund cierpienia i będzie po wszystkim. Dziesięć sekund, a życie tamtego należeć będzie do ciebie!

Chwycił go wpół i rękę jego lewą płasko rozłożył na stole, z ustawionymi palcami. Szybko dobywszy nóż z kieszeni, przyłożył ostrze jego do małego palca w środku, pomiędzy pierwszym a drugim stawem.

— Uderz! — zawołał rozkazująco — uderz ty sam! jedno uderzenie pięści tylko!

Gerard wstrząsnął się grozą i obrzydzeniem. Zrozumiał.

— Nigdy! — jęknął — nigdy! nie mogę!

— Uderz-żeż! jedno uderzenie, a będziesz zupełnie podobny do tamtego i nikt cię nie pozna.

— Jak on się nazywa?

— Uderz najpierw!

— Nie! o jakaż męka!... później...

— Teraz! trzeba! ja tak chcę!

— Nie... nie... nie mogę!

— Ależ uderzaj głupcze, to ci da szczęście, sławę, miłość...

— Miłość?

— Będziesz kochał i będziesz kochany — mówił Sernin. — Narzeczona cię czeka. Ja sam ci ją wybrałem. Najczystsza między czystymi, najpiękniejsza z pięknych. Ale trzeba ją zdobyć. Uderzaj!...

— Gerard z rozmachem podniósł pięść...

— Ach! — syknął z bólu.

Kawałeczek ciała odskoczył. Krew popłynęła obficie. Gerard zemdlał po raz trzeci. Sernin popatrzył na niego i szepnął łagodnie:

— Biedny dzieciaku! Poczekaj, ja ci to wynadgródzę... i jak, jak jeszcze wynadgródzę to tobie!

Zeszedł na dół i odszukał doktora.

— Już skończone. A teraz kolej na ciebie. Idź na górę i zrób mu cięcie na prawym policzku, takie, jakie miał Piotr Leduc. Blizna musi być identyczna. Za godzinę przyjdę po niego.

— Dokąd pan idzie?

— Odetchnąć świeżem powietrzem. W głowie mi się kręci.

Wyszedłszy na pole odetchnął głęboko i zapalił papierosa.

— Dobry miałem dzień — szepnął — męczący, ale dobry i w rezultaty obfity. Jestem przyjacielem Dolores Kesselbach, przyjacielem Genowefy. Sfabrykowałem sobie nowego Piotra Leduc, bardzo przyzwoitego i mnie oddanego zupełnie. Idła Genowefy znalazłem męża, jak się rzadko zdarza. Mogę odpocząć. Teraz ty pracuj, panie Lenormand...

— I dodał, myśląc o biednym okaleczonym, którego olśnił obietnicami.

— Tylko, że... tylko, że ja sam nie wiem niestety, kim był ten Piotr Leduc, którego „dziedzictwo długich wieków szlachectwa i sławy“ przekazałem pocziwemu młodzieńcykowi... A może ten Piotr Leduc był synem rzeźnika?...

## CZĘŚĆ DRUGA.

### Rozdział I.

#### Pan Lenormand przy robocie.

##### I.

31 maja wszystkie dzienniki przypominały, że Lupin listem, pisanym do p. Lenormand, zapowiedział na ten dzień ucieczkę woźnego Hieronima, Marka, starej jego służącej i tego, który przywłaszczył sobie jego imię, podając się jako Lupin. Jeden zaś z dzienników w ten sposób streścił sytuację w danej chwili:

„Straszną rzeź mordercza w Palace-Hotelu datuje się z dnia 17 kwietnia. Co odtąd wykryto? Nic. Policja miała trzy wskazówki: papierośnicę, litery L. M. i zawiniątko z ubraniem, zostawione w biurze hotelowym. Jaką korzyść wyciągnięto stąd? Żadnej nie wyciągnięto. Podejrzenie pada, jak się zdaje, na jednego z podróżnych, mieszkających na pierwszym piętrze, którego zniknięcie wydaje się



— Nigdy! — jęknął — nigdy! nie mogę!

podejrzanem. Czy go odnaleziono? Czy stwierdzono jego tożsamość? Nie.

„Na to wszystko urzędy sprawiedliwości odpowiedzieć mogą: A trzech współnicy uwięzieni?”

„Przepraszam, to są dawni współnicy Lupina. A dowiedziono już przecież, że banda Lupina nie ma nic wspólnego z potrójnym morderstwem. Dramat ten zatem jest równie tajemniczym teraz, jak w pierwszej chwili. Zapewniają nas przytem, że istnieje dysharmonia pomiędzy panem prefektem policji, a jego podwładnym, p. Lenormand, i że sprawą Kesselbacha zajmuje się pomocnik szefa bezpieczeństwa, p. Weber, osobisty nieprzyjaciel p. Lenormand. Jednym słowem, jest to bełład, anarchia. A naprzeciw tego Lupin, metodyczny, energiczny, konsekwentny.

„Jaki stąd wniosek? Krótki. Lupin wyrwie z więzienia czterech swoich współników dzisiaj, 31 maja, tak, jak to zapowiedział...”

To przewidywanie podzielała też i publiczność i widocznie wyższe władze również, gdyż pod nieobecność pana Lenormand, który podobno był chory, prefekt policji i pan Weber zarządzili wszelkie środki ostrożności w Pałacu Sprawiedliwości i w więzieniu. Ku wielkiemu a ogólnemu zadziwieniu 31 maja minął, a zapowiedziana ucieczka nie doszła do

skutku. Publiczność była potrosze zawiedziona, policja tryumfowała. Jednakże nazajutrz, w sobotę, dziwna wieść runęła po biurach Pałacu Sprawiedliwości i dotarła do redakcyj dzienników: Marco i jego towarzysze zniknęli. Wieczorem o szóstej *Wiadomości wieczorne* potwierdziły to ostatecznie:

„Otrzymujemy następujący komunikat z podpisem Arsena Lupina:

„Panie Redaktorze!

„Zechciej pan z mej strony wyrazić żal mój publiczności, że wczoraj nie dotrzymałem słowa. W ostatniej chwili spostrzegłem się, że 31 maja przypadał w piątek. Czyż mogłem przyjaciółom moim wracać wolność w piątek? Tej odpowiedzialności nie śmiałem brać na siebie.

„Proszę mi też wybaczyć, że nie podaję tutaj, ze zwykłą mi szczerością, wyjaśnienia, jakim sposobem ten wypadek się dokonał. Używałem środka tak prostego i tak naiwnego, że nie chciałbym, odsłaniając go, podsunąć go wszystkim innym złoczyńcom.

„Proszę przyjąć, panie redaktorze, zapewnienie głębokiego mojego szacunku  
Arsen Lupin.

W godzinę później p. Lenormand postyszał w swym mieszkaniu sygnał telefoniczny; Valenglay, prezydent Rady ministrów wzywał go do siebie.

— Jak dobrze pan wyglądasz drogi panie Lenormand! A ja myślałem, żeś pan chory i nie śmiałem na niepokoić!

— Nie jestem chory, panie prezydencie.

— A więc ta nieobecność, to był tylko dąs?... Zawsze taki sam zgryźliwy i niecierpliwy?...

— Że jestem zgryźliwy i niecierpliwy, to przyznaję, panie prezydencie, ale żebym się miał dąsać, nie!

— Ale pan zostajesz w domu, a Lupin korzysta z tego i wyciąga z pod klucza swoich przyjaciół!...

— Czyż ja mu mogłem przeszkodzić?

— Jakto! Ależ podstęp Lupina nie odznaczał się subtelnością. Jak zwykle, oznaczył datę wyswobodzenia, wszyscy w to uwierzyli, mieli się na baczności i ucieczka nie doszła do skutku; za to nazajutrz, gdy już nikt się tego nie spodziewał, frrr! ptaszki wyleciały. Otóż ja twierdzę, panie Lenormand, że gdyby pan był tam na miejscu, byłbyś pan te same ostrożności zarządził nazajutrz, co dnia poprzedniego i ptaszki siedziałyby w klatce.

— Tak, ale jutro, czy pojutrze, czy za tydzień jużby ich tam nie było...

— Co mi pan gadasz?

— Panie prezydencie — odpowiedział poważnie szef bezpieczeństwa — Lupin rozporządza takimi środkami, że nie sposób mu się oprzeć. Ucieczka musiała nastąpić. Wolałem odstąpić władzę innym... i śmieszność

także.

Valenglay rozśmiał się.

— To pewna, że pan prefekt policji i pan Weber w tej chwili nie mają się czem radować... Ależ ostatecznie niech mi pan wytłumaczy...

— Wiadomo tylko, panie prezydencie, że ucieczka nastąpiła z Pałacu Sprawiedliwości. Czterech oskarżonych więziennym wozem przywieziono do pałacu i zaprowadzono ich do gabinetu pana Formerie, który ich konfrontował i przesłuchiwał. Wyszli z gabinetu pana Formerie... ale nie wyszli z Pałacu Sprawiedliwości. A jednak niewiadomo, co się z nimi stało.

— To nie do pojęcia! I czyż nic nie odkryto?

— Owszem. Wewnętrzny korytarz, na który wychodzą gabinety sędziów śledczych, zapełniony był niezliczonym tłumem oskarżonych, dozorców, adwokatów, woźnych i pokazało się, że wszyscy ci ludzie otrzymali fałszowane wezwania na jedną i tę samą godzinę. Skądinąd żaden z sędziów śledczych, którzy ich rzekomo wzywali, nie przyszedł tego dnia do swego gabinetu, a to skutkiem sfalszowanych wezwań ze sądu, które ich porozsyłały po różnych kątach Paryża i okolicy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)